

ROZMAITOŚCI.

Dnia 16 maja,

N^o 20.

roku 1846.

ULAMEK Z ŻYCIA POETY.

1.

W niejakiej odległości od wsi Oweido, leżącej według mniemania kilku geografów w miejscu gdzie stało niegdyś miasto Abydos, i gdzie jak piszą starożytni poeci, odbywać się miało całe podanie o Hero i Leandrze; stała w r. 1810 mała chatka rybacka przy samym prawie brzegu morskim. — Ruiny pnącym się bluszczem okryte, pokruszone kamienie, połamane kolumny — jedynym były szczątkiem owego poetycznego miasta, które Owidyjusz opiewał. —

Byłoto w pierwszych dniach maja. — Młody człowiek schylony nad siecią przekładał z niej do stojącego obok naczynia swój łów całodzienny — na progu zaś chatki siedziała młoda żona jego, wyszywając świąteczny kaftan czerwoną wełną. Piękne, wesołe i zdrowe obojga tych ludzi twarze, w których młodość i nadzieja jaśniała, wskazywały, że się skromnym życiem zadowalali — i że niezachwiana miłość, łącząca ich serca, dodawała ich życiu, szczęścia i uroku. —

Wtém dotąd spokojne, wzruszyło się morze, a przy brzegu ukazał się dopływający człowiek, którego siły zdawały się bardzo osłabione. — Prawie pędem wody na brzeg wyrzucony, podniósł się z sił natężeniem, otrząsł długie swe włosy pianą morską okrytą, i chciał naprzód postąpić — ale siły go opuściły, zbladł i padł bez czucia na ziemię. — Rybak widząc to, pobiegł ku niemu, a przekonawszy się że to

było tylko zemdleńie, wziął go na swe barczyste ramiona i zaniósł do chaty. — Tu złożywszy go na świeżém sitowiu, starali się oboje wszelkiemi sposobami go ocucić. — Byłto człowiek mający blisko lat 30; kształt jego ciała był zupełnie regularny, prócz jednej nogi nieznacznie krótszej od drugiej; nadzwyczaj śmiały wyraz twarzy, pałające oko, i sarkastyczny uśmiech, oznaczały dumny umysł, bujną wyobraźność i gorącą energiję. Czoło miał wysokie, a szerokie skronia. Rysy jego w ogóle, zdawały się być wolne od wrażeń, które zwyczajne kłopoty życia, po sobie zostawują. — Troskliwe starania młodej pary, wnet wróciły do życia nieznanego. Otworzył oczy, spojrzął wzrokiem podziwienienia i goryczy na młodą parę stojącą przed nim, i trzymającą się w objęciu. Przycisnął rękę do swego czoła, jakby chciał jakieś zatarte myśli wywołać, wciąż spoglądając na medalijon wiszący mu na piersiach: »Ado, drogie i nieśczęśliwe dziecię! Ach — i ja nic nie mam innego od ciebie jak pukiel włosów twoich, który mnie podróżnemu bez kraju i rodziny, nieznana ręka przestała!« Poczém zatonął w głębokim dumaniu. — »Wieczny i niepoprawny rodzaju ludzki!« zawołał po chwili z dumnym uśmiechem — »a wy głupi uczeni, którzy zaprzeczacie poetyczną miłość Hery — cóż nato powiecie jak was dojdzie wiadomość, że poeta przepłynął Hellespont, aby was o waszej niewiadomości przekonać, i zaprzeczoną prawdę w życie wywołać?« To rzekszy, odwrócił się do rybaka i spytał: »Do jakiegoż narodu należysz?« — »Urodzony jestem w Oweido;« odrzekł tenże. — »Je-

steś więc Turkiem!» mruknął nieznajomy, brwi marszcząc. »Smutny kraj, gdzie widzieć można najpodlejszą niewolę i despotyzm do najwyższego dochodzący stopnia!« — Rybak uważnie spojrział w twarz mówiącego, tak, jakby słów jego nie był rozumiał. — »Tygrys,« rzekł po chwilo-
wym namyśle, »jest tyranem i postrachem lasów — a wróbel żyje i umiera nieznanym. — Ja na tych brzegach nie znam żadnego panowania — i nie żal mi tego. — Świat mój zaczyna się przy tém morzu, a kończy się przy tych ruinach — to zaś, cudzoziemcze, jest cały mój skarbk!« Tu wskazał z wzruszeniem na cudownie piękną swą towarzyszkę.

Ostatnie słowa rybaka przypomniały nieznajomemu własne jego nieszczęście — na twarzy jego odbił się smutek i zwątpienie, i zawołał boleśnie: »Ach, jeżeli troski i zmartwienia u was nie panują, czemuż mnie w tę chatę przyjęliście? Wrzucicie, o, wrzucicie mnie znowu w nurty tego morza, co mniej niestałe, niż moje szczęście, a mniej burzliwe, niż moje życie — wszędzie bowiem, gdzie się obrócę, nieszczęście mnie ściga!«

Młoda para spojrziała po sobie, a rybak odrzekł: »Koran mówi: Nie chciej zgadywać tego, czego wiedzieć nie powinienes — przyjmuj biednych i podróżnych — dobroczynność miłą jest Bogu!« Nieznajomy zamyslił się — lecz wnet znużony gorączką, spuścił głowę na piersi i zasnął. — »Człowiek ten musi być bardzo nieszczęśliwy!« rzekła młoda kobieta. — »Tak jest,« odrzekł mąż, »bo nie ma swojej Fatymy!«

2.

Tydzień minął — a cudzoziemiec, choć już zupełnie do sił był wrócił, nie wspominał o odjeździe. Zdawało się, że całą swą przeszłość, wszystkie swe smutki i nieszczęścia w zapomnienie puścił. Nie pamiętał także o tém, że fregata *The Salsette*, czekała nań w cieśninie dardanel-skiej; nie mógł się bowiem oderwać od spaniałej i cudownej natury zewsząd go otaczającej. Może też piękność i wdzięki Fatymy większe na nim uczyniły wraże-

nie niż się spodziewał, a może i życzył sobie jej się podobać. Pewnego poranku zastał nieznajomy rybaka przy brzegu. Poeta był blady, głos jego stracił swą dźwięczność, a w śmiałym oku żarzący ogień zgasnął.

»Rozwiń twój łodzi żagle, Marcos! Trzeba opuścić te miejsca.« — Mówiąc to spojrział ukradkiem na Fatymę, chcąc widzieć wrazenie, jakie na nią te słowa uczynią; u młodej kobiety jednak nie pobladły rumiane jagody — spytała tylko obojętnie: »Jużto nas chcesz opuszczać?«

Poeta oczekiwał tylko życzliwego, a szczerzego wyrazu lub skinienia, a byłby odłożył swój odjazd; lecz słysząc te zimne słowa, ledwo swe nieukontentowanie pokryć podolał. Również oziębłe ją pożegnawszy, wszedł na łódź, a Marcos silnym swym ramieniem odepchnął ją od brzegu — i wnet byli w pełnym morzu. Podczas całej tej przeprawy, podróżny był milczący i smutny; oczów jednak oderwać nie mógł od okolicy którą opuszczał; aż dopiero po niemałej chwili, spaniała jasność Helespontu, widok Dardanelów, owego klucza konstantynopolitańskiego, który Turcy tak poetycznie Boghase-Is-sari nazywają — i cała olbrzymia otaczająca go natura, tak przemożnie do jego fantazyi przemawiająca, potrafiły wygnąć melancholiję z duszy jego; a gdy łódka do fregaty już przybiła, czoło poety zupełnie rozjaśnione było. — Powrót sławnego podróżnika, w którym czytelnicy zapewne już lorda Byrona poznali, wielką na okręcie sprawił radość. Poeta wszystkich uprzejmie powitał; potem kazał swe skrzynie pootwierać, wyjąć z nich kosztowne materyje i drogie kamienie — i wzięwszy rybaka na stronę, dał mu je, mówiąc po cichu: »Fatyma nie potrzebuje wprowadzie tych wszystkich świecideł aby być piękną, weź jednak te podarki dla niej, niech one wam nieznanego podróżnego przypominają — ja z méj strony, póki żyję, nie zapomnę chatki rybackiej w Oweido.«

Morze było spokojne — niebo jasne i przeźroczyste — wszystko wróżyło szczęśliwy powrót rybakowi. Chmurka jednak

mała, nieznaczna, w oddaleniu pokazywać się zaczęła; majtki z fregaty, zły znak w tém ujrzeni i potrząśli głową... Byron sam był w obawie i stanął z dalowidem na pokładzie. Chmurka rosła dziwnie prędko — wnet powstał wicher coraz a coraz większy — pioruny biły — niebo się paliło — a po przestworzu morza, góry wodne latały w szalonym tańcu!... Poeta nie zważając na niebezpieczeństwo, okrętowi i jemu grożące, stał na pokładzie, oczy mając w łódkę rybaka wlepione; wiedział on bowiem, że u brzegu — koło chatki — odbywa się inny dramat — bolesny, okropny! Z obawą i przestrachem śledził każde poruszenie nieszcześliwego Marcos, każde daremne natężenie... Była okropna, podziwienią godna walka, lecz — nie trwała ona długo. Wiatr mocniej zawył, a łódka znikła w mokrąj paszczy morza!

W chwili gdy to się stało, zdawało się Byronowi, że przez gromy, huk grzmotów i morza, usłyszał przewyższający to wszystko — a serce rozdzierający wykrzyk najwyższej rozpacz! —

„Wszędzie śmierć i zniszczenie! Wszędzie boleść i smutek!” w myśli zawołał żałośnie poeta. — Gdy morze się uspokoiło, kapitan fregaty wysłał łódź, aby poszukać ciała biednego rybaka.

Byron nie czując się zdolnym widzieć boleść i rozpacz Fatymy, zawołał swego sługę i dał mu 200 piastrow, z nakazem, aby je zawiózł wdowie rybaka. — W trzy godziny powróciła łódź, sługa przyniósł piastry — na które i nie spojrzła Fatyma — i tajemniczą jej odpowiedź: „Na cóż mi złota? Gdy serce bić przestaje, ustanie wkrótce i życie.” —

3.

Dwa dni upłynęły od zgonu rybaka. — Fatyma siedziała na progu swęj chaty; głowę sparta na jednęj ręce — a patrząc na nią, zdawało się, że to posąg z kamienia wykuty — gdyby nie poruszenie palców drugiey jej ręki, przesuwającey paciorki swego *Cambolojo* (rózańca). Jej twarz nieznacznie tylko pobladła, i żadnej w niej nie można było dostrzedz odmiany, oprócz gorączkowo, dziwnie jaśniejącego blasku jej oczów, i sinęj obrączki wkoło nich — skutek bezsennie spędzonych nocy. — Podczas gdy tak cicho i w głębokiem dumaniu siedziała — szalupa zbliżała się ku brzegowi — Fatyma usłyszała plusk wody od wiosła — spojrzła — a niewymowna radość zajaśniała w jej oczach: „O, witaj! witaj!” zawołała, wyciągając ręce. Byron spojrział na nią z zadziwieniem, czoło jego zachmurzyło się i szepnął mimowolnie: „Czyż wszystkie kobiety jednaki? Wczoraj za mężem — dziś wdową — i żadnej skargi, żadnych łez!?” — Fatyma słuchała go z zimną uwagą... „Łez żądasz? skargi?” rzekła wstrząsając głową. „O, nie milordzie, tych nie usły-

szysz; chciałam, życzyłam sobie, raz cię tylko jeszcze zobaczyć, i życzyć ci szczęścia, na które zasługujesz, a którego, jak się zdaje, nie znalazłeś!... Teraz zaś bądź zdrow!” — „Dokądże pójdziesz, Fatymo?” — „Tu, czy tam, wszystko mi jedno; pojedę tam, gdzie serce rozdzierających wspomnień, nawet obrazu byłego szczęścia nie znajdzie; tam byłoby mi dobrze!” — „Opuszczasz tę chatkę bez żalu?” — „Opuszczam.” — „Na długo?” — „Na zawsze!” — To rzekłszy, odbiegła Fatyma. Widać ją było, jak lekką nogą mijała skały, przepaści i urwiska, poczem znikła u brzegów Sestos. Byron zdziwiony tą nagłą ucieczką, pośpieszył za nią; ujrzał ją nakoniec — klęczącą nad przepaścią! — Smutna cisza tego dziko cudownego miejsca, tak dziwnie i uroczo od śmiejącej i urodzajnej natury się odbijając — postać Fatymy klęczącej z rozpuszczonym włosom — huk morza w oddaleniu — wszystko się złączyło aby oku przedstawić obraz, którego żaden malarz na swém płótnie oddać — żaden poeta swém wielowładnem piórem opisać nie zdoła... Scena ta na Byronie gwałtowne sprawiła wrażenie, ukląkł przy wdowie rybaka i rzekł: „Przebacz, jeżelim łzy twoje i boleść twoję obraził, ale któż widzieć ciebie, a nie kochać może! Kobiety w modłach, tak piękne!” — Słowa te nie obraziły Fatymy, ani ją zdziwiły, ale coraz bardziej do przepaści się zbliżając, rzekła z bolesnym uśmiechem: „Pyszna byłam z męj piękności, gdyż była ona szczęściem męża mego, biednego Marcos; dziś jednak...” — „Przyszłość jest u Boga,” przerwał jej poeta, „serce twoje zbudzić się może, nowym ogniem miłości zagorzyć; szczęście twoje Fatymo — nie umarło...” — Fatyma potrząsała smutnie głową, podniosła się z powagą, i wskazując na morze, rzekła: „Tam zatoneło me szczęście!” A potem wskazała na błękitne niebo, i dodała: „Tam zaś, znowu je znajdę!” To rzekłszy, pochyliła się nad przepaścią, wymówiła słowo, którego Byron nie zrozumiał — i, nim poeta z ośłupienia ochłonął — zniknęła!...

* * *

Lord Byron w ten sam wieczór wrócił na fregatę, zawieźć go do Konstantynopola mającą. Jego towarzysze podróży widzieli, jak głębokie i bolesne wrażenie dramat, którego był świadkiem, na umysł poety wywarł, poety — który światem, w którym żył, tak pogardzał, iż — gdy mu zdechł jego pies z Nowej Fundlandyi, wierny towarzysz wszystkich podróży jego — kazał mu wystawić nagrobek, i na kamieniu następujący napis położył: „Kamień ten kryje przyjaciele, miałem tylko jednego — i ten tu spoczywa.”

K. L.

DYJANA.

(Dokończenie.)

Wszyscy Frankowie, nawet ci, którzy lekkie odnieśli rany, wyglądali z otuchą dnia jutrzejszego, mającego im zwiastować bój ostateczny, a z nim palmę zwyciężką. Wreszcie zaświtał ranek, ale bez boju; gdyż ledwie pierwsze promienie porannej zorzy zabłyśły, ozwał się odgłos trąb na wałach, które jeszcze w rękę Anglików pozostały, a ze szczytu wieży, leżącej naprzeciw obozu francuzkiego, wzniosła się biała chorągiew. Po krótkiej chwili otworzono wewnętrzną bramę miasta, spadł most, a po nim przejechał herold angielski. Stanąwszy w obozie Franków, oznajmił hetmanowi wprawdzie nie ostateczną wiadomość o poddaniu się twierdzy, lecz tylko prośbę o dwutygodniowy rozejm, po którego upływie, wódz angielski, gdyby w tym czasie żadna pomoc mu nie nadeszła, warownie oddać przyrzekał. Prośbę tę przyjęto z głośniami okrzykami radości, stanowiła ona bowiem najjawniejszy dowód, iż liczba jakoteż i odwaga Anglików nie były wcale tak groźne, jako wszyscy powszechnie dotąd mniemali. Przecież nie widziano możności, aby który z oddziałów nieprzyjacielskich, w tak różne strony rozprószonych, ku odsieczy mógł przyspieszyć. Ztąd tuszono sobie najpewniej, iż zamek Randon bez dalszego przelewu krwi otworzy bramy, zwłaszcza że herold angielski, prócz przyrzeczenia rozejmu, wziął z sobą naoczne przekonanie o wytrwałości, odwadze i patryjotyzmie Francuzów.

Tegoż samego dnia, kiedy obrońców Francyi tak świetna pokrzepiła nadzieja, odbył się uroczysty obrzęd pasowania młodego Karola de Poveril na rycerza. Wokoło namiotu hetmańskiego zgromadzili się wszyscy wyżsi i niżsi naczelnicy, stanęło dalekim, błyszczącym kręgiem wojsko zwyciężkie, a w pośrodku, przed sędziwym hetmanem du Guesclin, przyodzianym w przepyszny strój rycerski, ukłękł z odkrytą głową, z owiązaniem czarną przepaską czołem zranionem, ale z radośnym uniesieniem na licu, uszczęśliwiony kochanek Dyjany. Trzy razy spadł miecz hetmański lekkim płazem na odsłonięte ramię młodzieńca i trzy razy zabrzmiała muzyka wojenna grzmotnym odgłosem, rozdzającym się szeroko po całej okolicy od murów twierdzy aż do poblizkiego lasu. Poczem wódz naczelny podniósł młodego rycerza z ziemi, i przyciskając go do piersi, rzekł: „Powiedz, jakże przyjaciel młodości twojego ojca ma wynagrodzić uciechę, jaką mu swoim bohaterским męstwem sprawiłeś?”

Gorący rumieniec oblał lice młodziana, usta jego zadrgały, jakby jakaś wielka prośba przez nie przemknąć się chciała, lecz wstrzymała ją spieszna rozważa; przeto w odpowiedź ozwały się skromne, chociaż dobitniejszym niż zwykle wyrazem wymó-

wione słowa: „Jeżeli wódz mój, prócz zaszczytu, jaki właśnie tu otrzymałem, nowemi jeszcze dobrodziejstwami chce mię obdarzyć, przyjdzie może niedługo ta chwila, że go błagać będę o dozwolenie mi najwyższego szczęścia dni moich.”

„Słyszycież?” odpowiedział hetman ze śmiechem. „Wszakże mówisz do mnie, jakbyś chciał zostać moim zięciem, chociaż nie mam szczęścia mieć córki. Ztémwszystkiem mojemu dzielnemu Poverilowi wszystko już naprzód przyrzekam.”

Tu schylił się z pośpiechem młodzieniec i ucałował serdecznie rękę starego bohatera, a w jego zwróconych ku niebu oczach jaśniała niewysłowiona radość.

„Co widać! Tyżeśto chłopcze! A całys, jakby z żelaza!” zawołał nagle hetman, obróciwszy się i postrzegłszy Dyjanę, którą wszyscy w rękę lekarzy być mniemali, a której pełne rozkoszy i miłości spojrzenie, na rycerskim kochanku teraz zawisło.

„Odgłos trąb wojennych wywabił mię z namiotu, dostojny wodzu;” — odrzekła Dyjana — „a piękne widowisko, któremu miałam szczęście się przypatrywać, pokrzepiło mię bardziej, niż wszelkie starania i lekarstwa.”

Gdybym był znał wprzód twój wstręt od lekarstw,” — ozwał się hetman uprzejmie — „byłbym was obu razem na rycerzy pasował. Lecz bądź pewnym, iż po skończonem obleżeniu, pierwszym mojem staraniem będzie, aby waleczny Turanel jako równy rycerz obok swego przyjaciela mógł stanąć.”

„Pozwól mi, mój wodzu,” — przemówił nato Poveril — „wziąć tego młodziana pod moją wyłączną opiekę, gdyż, jak jemuto głównie ocalenie moje z śmiertelnego winien jestem niebezpieczeństwa, tak też i pielęgnowanie go w słabości do mnie należeć powinno.”

Dyjana uśmiechnęła się ukradkiem, albowiem wiedziała zanadto dobrze, co było właściwym powodem do tej prośby.

Hetman zezwolił z radością na żądanie młodzieńca; a tak paż Turanel wsparty na ramieniu towarzysza, pożegnany życzliwem spojrzeniem hetmana i wszystkich obecnych wojowników, udał się do swojego namiotu.

Tam, w słodkiej, powierniej rozmowie, wyznał on uszczęśliwionemu przyjacielowi, iż serce jego było nawet w tej chwili dla niego, kiedy nieraz pozorna pustota nadaremnie tkliwsze uczucia ukryć pragnęła — wyznał, jak boleśnie przyszło mu oddalać się z domu szlachetnego opiekuna swego, i że tylko nieprzeparły głos obowiązku dziecięcego, i obawa, aby go prośby kochanka od udania się w poblizę ojca nie wstrzymały, do potajemnego wyjścia z zamku Randon go nakłoniły.

Wywzajemniając się za to, powierzył Karol Dyjanie, iż to nietyłe żądza bojów i sławy, ile chęć wywiedzenia się czegoś o kochance, zagnała go do obozu hetmana, a ta dobrowolna ujma rycerskiemu charakterowi swojemu, nie uczyniła przykrego wrażenia na ubóstwianej dziewicy.

Wśród takiej miłośnej rozmowy, przerywanej tylko cichemi acz niemniej wymownymi pocałunkami, upłynął miły wieczór, i zapadła senna noc nad obozem.

Dni następnych, nim jeszcze połowa umówionego rozjemstwa upłynęła, uczył hetman du Guesclin pierwsze oznaki jakiejś w sobie niemocy, która niezbadanym zrządzeniem opatrności, zbyt wcześnie, jeżeli nie dla jego sławy, przecież dla całej Francyi, z tego świata zabrać go miała. Bohaterski starzec, przewidując blizki koniec żywota, bolał tylko nad tem, że mu przyjdzie rozłączyć się z swoimi walecznymi towarzyszami, nim jeszcze nieprzyjacieli zupełnie z ojczyzny wypartym zostanie.

Tymczasem rany młodej Dyjany zupełnie się zagoiły. Wprawdzie jej lica były jeszcze śnieżną białością powleczone, ale w jej oku pałał ogień młodości, a obawa o życie ojca, któremu teraz troskliwość kochającej, pielęgnującej go córki tak potrzebna się stała, resztę jej sił przywróciła.

Czuwając nieustannie nad lożem szlachetnego starca, ileż razy nie chciała rzucić mu się do nóg, wyznać mu wszystko, i ojcowskiego uprosić błogosławieństwa! — ale za każdym razem wstrzymywała ją bojaźń, aby sprawione tem wzruszenie, jeszcze bardziej starcowi nie zaszkodziło.

Oko chorego hetmana spoczywało często z rozczuleniem na mniemanym paziu, a nie mogąc sobie tej niewysłowionej troskliwości obcego młodzieńca wytłumaczyć, kłoniło się serce jego, jakby uprzedzone już o nastąpić mającém odkryciu, z prawdziwą ojcowską miłością ku Dyjanie.

* * *

Nareszcie nadeszła ostatnia noc umówionego rozjemstwa. Franczi lękali się, aby wiadomość o niebezpiecznej chorobie hetmana, Anglików do dalszego nie ośmieliła oporu. To powiększyło dwójnasób smutek, jakim ich obawa straty swego niezrównanego wodza przejmowała. Ponure milczenie panowało w całym obozie i tylko posepni gońcy, biegający od namiotu do namiotu z wieściami o stanie chorego bohatera przerywali powszechną ciszę.

Jeszcze smutniejsza, grobowa głusza zaległa namiot Iwa umierającego. Hetman nie przypuszczał do siebie nikogo, prócz Dyjany, roniącej rzesiste łzy nad dogorywającym starcem, który podpierany jej miękką dziecięcą dłonią, mdłym wprawdzie, ale nadzwyczajnie tkliwym wejrzeniem za tę ostatnią usługę jej dziękował.

„Wypłaczesz sobie oczy, mój luby paziu;” —

przemówił chory zcicha — »wszakże nie będziesz zupełnie opuszczonym, chociaż ja umrę. Masz bez wątpienia rodziców, przyjaciół, krewnych, którzy cię z radością powitają, gdy już nie stanie tego, któremu ty teraz chwilę śmierci dziecienną osładzasz miłością.»

„Gdy ty mi umrzesz,» — zawołała Dyjana stłumionym boleścią głosem — »nie będę miała nikogo, coby mi twoją stratę mógł wynagrodzić...»

Chory bohater podniósł się na łożu i rzekł uroczyście do dziewicy: »Nie bluźń przeciwko niebu! Zesze ci ono jeszcze anioła-pocieszyciela, który wtędy nawet, gdy już nikogo na tym świecie mieć nie będziesz, niewymownym szczęściem serce twoje napełni — zesze ci miłość!»

Żywy rumieniec oblał lica Dyjany, schyliła się zmieszana ku ziemi, aby hetmanowi nie dać dostrzedz swego wzruszenia.

„Jesteś młodym i czułym;» — rzekł hetman dalej — »a dla czegoż nie miałbym ci też powiedzieć, jesteś pięknym; masz więc daleko więcej praw do tkliwszych uciech żywota, niż ja za młodu ich miałem, bo niebo odmówiło mi wszelkiej powierzchownej nadobności, a przecież ów anioł, o którym ci wspomniałem, uścielił mi pięknymi kwiatami ścieżkę życia mojego, chociaż te kwiaty zbyt wcześnie uwiędły.»

To mówiąc zdawał się hetman być pogrążonym w wspomnieniach młodocianego wieku, które jego przygasające oblicze jakby nową przelotną jaśnią na chwilę oświeciły.

Dyjana zaś drżała jak liść osiki; lica jej to pałały nagłym rumieńcem, to bladły znowu jak lilija; przez usta cisnęło się uporcezywie słowo wyznania, lecz myśl o ważności tego słowa odpięrała je w głąb piersi. Nakoniec ozwała się Dyjana zwało: »Byłeś zaślubiony, dostoyny panie?»

„Tak jest;» — odrzekł chory starzec smutno — »dwie zacne istoty podzielały los mój, wszakże tylko jedna z nich władała mojemu sercem!... Obie-dwie jż nie żyją... i nie znam nikogo, komubym z większą pociechą umierające zamknąć dał oczy, jak tobie... ty dziwna, luba istoto!» dodał z głębokim uczuciem.

Tu Dyjana rzuciła się na kolana, ujęła z płaczem rękę ojcowską i nie mogła się już dłużej powstrzymać. »Pobłogosław — o Boże! — pobłogosław mój drogi — mój ukochany ojcie!» zawołała dziewica, przemożona gwałtowną burzą nczuć, a głowa jej pokłoniła się na łożo konającego bohatera.

„Bóg mi jest świadkiem,» — odpowiedział starzec uroczyście — »błogosławię cię jak moje własne dziecko;» — i wznosił ręce pobożnie nad Dyjaną.

„O, chwałaż tobie Panie na niebiesiech!» ozwał się ktoś nagle z głębi głosem radości, a u wnijścia namiotu, zprzed którego w tężę chwili opona ule-

ciała, stał sędziwy Henryk de Poveril, pochłaniając wzrokiem przedstawiający mu się tam w promieniach ranego słońca prawdziwie niebiański obraz ojca i córki.

»Czuję iż mi już blisko do śmierci,« — przemówił hetman ledwie dosłyszczanym głosem — »bo wszystko, co mi za życia drogie było, gromadzi się teraz koło mnie, aby mi chwilę skonu ulżyć!«

To rzekłszy wyciągnął do Guesclin prawą rękę ku swemu przyjacielowi młodoci, podczas gdy lewa ciągle jeszcze na głowie Dyjany spoczywała.

»Ale jakżeto przybyłeś tu z waszej twierdzy,« — mówił hetman dalej z zdziwieniem — »i jakieżto szczęście wywołało tę radość, co na twoich licach jasnieje?«

»I pytasz jeszcze!« zawołał Henryk de Poveril zdumiony. »Jakże nie ma radować się przyjaciel, będąc świadkiem błogosławieństwa, jakie tu ojciec na skronie córki swej składa... nie unosić się szczęściem, widząc na twojem łonie to dziecię, które tobie, ojcu, oddawna wypastowałem?«

»Córke — dziecię — żyjężto jeszcze?« westchnął hetman zamierzającym głosem. »O Boże, cóż to ma znaczyć? Powiedz!«

»Cóż to, Bertrandzie!« krzyknął stary towarzyszu. »Czyż jeszcze nie wiesz?«

»Co?« zapytał du Guesclin z wyczerpaniem ostatku sił uchodzących.

»O, znieś to mężnie, bohaterze!« zawołał Poveril w uniesieniu radości. »Jestto twoje własne dziecię, jest to córka twojej pierwszej kochanej żony, twój Jenny córka, którąś tu pobłogosławił.«

W tej chwili zerwała się Dyjana zprzed łoża, i z okrzykiem, w którym radość i boleść na poły się mieszały, rzuciła się na umierającego starca, wyciskając mu gorące pocałunki na czole.

»Tchu! Tchu!« wyjęknął umierający i podniósł się nieco w górę; ramiona jego objęły konwulsyjnie dziecięcą postać córki, a usta jego ruszały się skwapliwie, lecz żadne słowo na nich już nie zabrzmiało. Dyjana w głos szlochała; Henryk de Poveril stał prawie bez przytomności u łoża i wpatrzył się niemo w strupiałą twarz bohatera.

Naraz otworzyły się znowu drzwi namiotu, i wpadł niemi Karol Poveril, biegnąc z wyciągniętymi ramionami ku ojcu, który na widok swego walecznego, długo niewidzianego syna, głośnym wykrzykiem radości z marzenia się przebudził.

Wszakże niebawem musieli się rozerwać, gdyż konający hetman wy dobył się już z objęć Dyjany i ostatnie siły zebrawszy, wezwał starego przyjaciela, aby mu wszystko dokładnie wytłumaczył. Krótkie było opowiadanie gubernatora. Pominąwszy bowiem wszelkie przykre okoliczności, połączone z przyjściem na świat Dyjany, starał się sędziwy ojciec Karola jedynie wspomnieniami o jej szlachetnej matce, jakoteż o dziecięcej miłości samejże Dyjany, ostatnie chwile bohatera oszodzić.

»Moje dziecię! O moje drogie, kochane dziecię!« ozwał się hetman z cicha, dosłuchawszy opowiadania gubernatora. »O, gdzież jesteś? — Czyz może ciemnieją! — Gdzież jest ten, którego kocham jak syna?«

Na te słowa przystąpił Karol de Poveril ze łzami w oczach ku łożu starca, który go ujął za rękę.

»O mój kochany synu,« — przemówił z nadzwyczajną słodyczą umierający — »teraz wiem, o co chciałeś mię prosić, a spełnienie tej prośby niechaj będzie ostatnią rozkoszą mego życia.«

Tu młodzieniec otoczył ramieniem płaczącą kochankę, a hetman złożył ręce do modlitwy, błagając błogosławieństwa z nieba dla tego związku.

Uroczyste milczenie zaległo namiot na chwilę, aniż pokoju owiał swem miękkim skrzydłem spocone czoło konającego.

Więc zabrzmiały trąby wojenne, uderzając w krótkich i coraz krótszych przestankach w powietrze, a zarazem ozwał się grzmiący chór dzwonów z wież twierdzy.

»Więc wysłuchałeś mię, Boże zastępów!« ozwał się hetman raz jeszcze. »Wysłuchałeś mię, i chcesz mi jeszcze u progu śmierci skronie uwieńczyć?«

Zaledwie to wymówił, rozsunięły się opony namiotu, a we drzwiach stanął pułkownik angielski z schylnym ku ziemi mieczem, skłonił się z głębokim uszanowaniem przed umierającym zwycięzcą i złożył mu u nóg klucze od twierdzy.

W tej samej chwili ozwały się z dali wesole dźwięki muzyki wojennej, a przy jej rażnym odgłosie pochyliły się znaki angielskie na wałach twierdzy a proporce Francji wzniosły się w górę.

Więc i siwa głowa bohatera opadła zwolna w poduszki, gasnące jego spojrzenia utkwily martwo w zalaną łzami córke, w rozrzuwionym kochanku, w boleścią przejętym przyjacielu, a bogini zwycięstw i sławy, podała swemu ulubieńcowi rękę, aby go przewieść zlekka do owej jasnej krainy, gdzie nabyte na ziemi wawrzyny, nigdy już nie uwidną.

Ale piękniej jeszcze niż wawrzyn sławy, umiała grób zgasłego bohatera miłość Dyjany i Poverila, gdyż Wielkość lubuje w błuszczu i purpurze, Dla serca — miłość i różę.

Rzecz gramatyczna.

Ideja tworzy sobie znak jako ciało i mieszka w nim jako dusza.

Wszelka nauka jaka się tylko w zaszczyt umiejętności dźwiga, nie przestaje na płytkiej powierzchni, i stara się badaniem coraz głębiej w dno przedmiotu swego wnikać. Między innemi, daje nam w tym względzie chemija zachęcający przykład, umiejętność, która stworzone roztrwarza, a rozkładając ciało, wkłada się w pracownią sił natury, jakby chciała wysledzić matrycę idei, podług których natura pojawia sił swoich wyłoga. Również jak wszystko w naturze, jest także język naturą, chociaż w odwrotny, w dowolny, idealny, symboliczny, alegoryjny, przenośny sposób. Reguła podług której natura tworzy, jest ta sama, podług której człowiek myśli, tylko tam pod formą smysłowego, cielesnego bytu, w duchu człowieczym zaś, pod formą idealną poznawania; tu i tam pracuje działalność przez refleksyję, przez różne środki i sposoby; lecz w naturze koniecznie, nieswiadomie, w duchu zaś człowieka świadomie, dowolnie, z uznaniem. Gdyby między poznającym a poznawanem, była bezwzględna, istotna różnica, nigdybyśmy istotnie istoty przedmiotu poznać nie mogli. Czém się co złożyło, zamknęło, tém się tylko da rozłożyć, roztrwarzyć, odemknąć. Język jako najwyższy szczyt umu człowieczego, nie mógł się niczém inném złożyć, jak tylko idejami, i temż tylko poznać go i rozłożyć możemy. Głos urobiony dla ucha i znak jego dla oka, jest ciałem dla smysłów, lecz urobienie, jako dzieło ducha, jest formą dla władzy poznania duchowego. Znaki stojące w alfabecie, sąto ucieleśnione postacie urobionych głosów; sąto symbola, w których alegoryja idei mieszka. Człowiek idąc w poznanie, miał już sam po sobie sposób pytania się o przedmiot poznawany; pytał się więc wrodzoną możliwością wie-

dyz swojej, i w miarę doświadczenia w sobie i zewnątrz siebie, po téjże możliwości opowiadał i określał sobie, poznawane i pytane; a to pytanie jego było — że tak powiemy, pytaniem pyta-goryjnym, rodzimo-filozoficznym. Z natury rzeczy wynika, że ruch, miejsce — czas i strzeń i byt, te ogólniki teraz umiętne, musiały być wprzód koniecznie pierwszą pobudką ocknięcia się idej w człowieku, bo to wszystko miał koniecznie przed sobą i w sobie, chociaż ciasno, nierozwiedziono, ale miał, bo mieć musiał. Gdy się człowiek stał narodem, upotężala się wiedza jego wspólnie idejami, a przeto samo doskonalił się język narodowy, i coraz bardziej odpowiadał potrzebom rozumu. Znaki w naszym alfabecie z głębokiego tła wieków idące, ze znaków arytmetycznych, sanskrytyckich wzięte, odpowiadają naszemu językowi dla tego: tak dziwnie, dogodnie, że nasz język z témiz znakami, jednego jest rodu; i ztądto idzie, że gdy się w nim rozpatrzy, uderza nas jego doskonały mechanizm; ależ mechanizmem językowym nie władają siły fizyczne, tylko duchowe, a témiz są ideje, pojęcia, piersią narodu wyczute, słońcem twórczej fantazy wygrzane, refleksyją rozumu skróślone, i przez umniczą wyobraźność potomnym wiekom w objawę i zakon jako znaki prawdy podane. — Przytaczamy tu dla przykładu, jeden tylko znak, a zobaczymy, jak ten znak, pytając, powinowate ideje wywoływać będzie: »D? de? De i-Desz? G-Dzie i-Dziesz? K'-Da, Kuda i-Desz? Kody — kie-Dy? Kudy, kę-dy? Ni-g-Dy, ny-ko-da. OD-ku-Da? z-ka-D? OD-Tu-Da, z-Ta-D; Tu-dy i-dy. A, tam-tudy ne idy; tedy i-dz A nie tamtędy.« Ten pobieżny przykład uczy nas, jak tu o ruch, o czas i miejsce i różną dążność pod różnym względem chodzi; jak tu znak: Δ, jako symbol samo-wiedzy*), pyta i odpowiada; jak tu znak: i, nieustannie w dal dążąc, nieustannie łącząc; jak tu znak A, pośrodku, jakby krokiew, dwie ściany rozpięra i razem trzyma; jak tu znak: Z, jakby siekięra wskazuje wynikłość, zacięcie, zacczęcie, zacczucie; wskazuje zkad co i w co idzie, i zkad się bierze; jak tu: g, k (co jedno) ku środkowi, A, nie w sam środek, nie *transitive* dąży, a przeto *dativum* i rząd gramatyczny wyjaśnia. — Tu się okazuje, że niedość pytać o pokrewieństwo słów, ale trzeba się pytać i znaków, które je składają, o powinowactwo idej, które w nich mieszczą; tu się okazuje: że zwyczajna etymologija, bez ideologii, badaniem gramatycznym nie starczy. i. z. k.

Uwaga: Ze podobny rozbiór i pobieżną krzewność języków okazać może, o tém się rozwodzić nie jest tu miejsce; jednakże dla dowodu, napomkniemy słów kilka; np. Słowiańskie: Wjo! Wiho! tacińskie: veho — tra-ho, niemieckie: Tragen; Durare — trwać — dauern; Mens — Mensch — mąż — scientia — ściąganie encyjiów, ściąganie pojęć, rzeczy, w jeden sens, w system, w syntezę; Usus — użycie — intel-ligentia — związ, skąd w jedno tto; in-ge-nium — Deus in nobis — wrodzona zdolność; men, umen, roz-um; mnemo, mniemam — mejnen — memini — memosine — pa-mięć, przy-po-mnienie; puto, pytam, pątnik, ide; wado — watten — i. d. i. d. — »Co do mnie,« mówi Gete (Obacz Rozm. Nr. 49. str. 151.) »ja sądzę, iżby nie jedno trafne słowo utworzyć się nam dało, gdybyśmy chcieli dochodzić, zkad ono w innym języku powstało, i gdybyśmy tąsamą drogą do niego doświadczać.« A my dodajemy, że tylko na drodze myślenia, nazwa myśli, a przeto i słowa, z istoty przedmiotu, w który wnioskujemy, wyniść może, i że umiętność wskróz nie po-

jęta, i słowem ojezystem wskróz nie oddana, nie jesto krusiec, nie jesto metal jeano-lity, i dlatego idei swój z dna swego, szczeró w zrozumienie nie wyszczerza.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego T. W. Kochańskiego* wyszedł nr. 19ty i zawiera: 1) O poprawieniu łąk. 2) O gradochronach i ich nadzwyczajnych skutkach. 3) List radcy ekonomicznego Szmidta, pisany z Hohenhejmu do wydawcy *Tygodnika roln. przem.* wraz z wiadomością o tamtejszej szkole. 4) Sposób leczenia gangreny śledziony u bydła i owiec. 5) Sproszkowany siarczan wapna (gyps) okazał się skutecznym lekarstwem na wodnicę lub zgniliznę u owiec. 6) Niektóre uwagi nad uprawą chmielu. 6) *Wiadomości handlowe.*

Odezwa do pism Warszawskich. *Dzieła Jana Sniadeckiego*, wydane przez Michała Balińskiego, a drukowane od r. 1837 do 1839 w Warszawie nakładem Augusta Emauela Glücksberga, znalazły i w Galicyi licznych prenumerantów, którzy z chęcią składali pieniądze na pisma, za któremi przemawiały uznana ich wartość i imię wydawcy, a zabezpieczać się zdawała dobra wiara znanego w świecie księgarskim nakładnika. Tymczasem, jak się to nieraz u nas zdarza, i tym razem zaufanie prenumerantów z niemną oczywicie szkodą wszelkich innych drogą przedpłaty wychodzących dzieł zawiedzionem zostało: z zapowiedzianego bowiem tomu Igo, zawierającego żywot Sniadeckiego, wyszła tylko część Iwsza, a na część 2gą dotąd od roku 1839 czekamy. Tą okolicznością spowodowana Redakcja *Gazety Lwowskiej*, w imieniu galicyjskich prenumerantów udaje się do wszystkich publicznych pism Warszawskich jako lepiej z miejscowemi stosunkami obznajmionych, z prośbą o przyjazne wyjaśnienie téj niezrozumianej zwłoki i z zapytaniem, ażali rzeczona część 2ga tomu Igo (która jak słyszamy leży dawno już w rękopisnie gotowa) ujrzy kiedy światło dzienne, i uzupełniając całość zapowiedzianego dzieła, uczyni zadość słusznym żądaniem prenumerantów.

Redakcja *Gazety Lwowskiej.*

Nowy sposób uczenia języków w najkrótszym czasie. Niedawno odbyła się w Więdnui, w gronie prywatnem, próba metody profesora Rosental, o której jużemy raz wspomnieli, a która teraz znówu nadzwyczaj użyteczną się okazała. Pewna panięna, nie umiętająca języka włoskiego, wzięta od rzeczzonego profesora jednogodzinną lekcję podług jego metody, i była już w stanie, w ciągu następnego półgodzinnego egzaminu, nie tylko blisko 200 pytań ze wszystkich gałęzi gramatyki najdokładniej rozwiązać, lecz owszem w końcu ku powszechnemu podziwieniu cały list włoski dosłownie na język niemiecki przełożyła. Oprócz tego czyniono podczas egzaminu pomniejsze wycieczki w obręb tacińskie, greckiego i niektórych słowiańskich języków, o których uczenica przy lekcyi także niejaki wyobrażenia powzięła. Wszyscy słuchacze byli zdumieni, nie wiedząc komu przyznać pierwszeństwo, czy metodzie mistrza, czy pojętności panięni. Jakoż nie ma najmniejszej wątpliwości, iż za pomocą metody pana Rosental każdy uczeń w jednej godzinie tyle nauczyć się może, co zwyczajnym sposobem w całym miesiącu.

Zyjątko mikroskopijne. Dr. Ehrenberg, członek berlińskiej akademii umiętności, zajmuje się ba-

*) Prawda jedna trój-boczna. Znak T, miejsce; znak: M, um, myśl.

daniem popiołu, jakim palający od niejakiego czasu Hekla znaczną część morza północnego, aż po wybrzeża szkockie, zarzucił. Otóż najciekawszą wynikiłością tych badań jest odkrycie wyraźnych szczątków kilku zwierząt mikroskopijnych w tym wulkanowym popiele. Zdaje się więc iż cała ziemia, aż do głębi swych ognistych wnętrzości, z żyłatek jest złożoną.

Hiszpanija ma także swego Rotszylda, znanego bankiera Salamanka, który dość znamienitą rolę w historii kraju odgrywa. Ten człowiek przybył przed osmiami laty ubogi lecz pełen nadziei i z chytą, przemysłną głową do Madrytu, i nie mając teraz więcej nad 34 lat, posiada już olbrzymi majątek i odpowiednie temu znaczenie. Jako dzierzawca monopolu solnego, trzyma on 15.000 strażników celnych w swęj służbie, jako pierwszy bankier władą giełdą, a z miłośnictwa prowadzi dyrekcję teatru królewskiego w Madrycie. Je razy królowa jest w teatrze, zawsze do Salamankę około 8000 talarów kosztuje. »Przychodzi mi odwiedzić,« — mawia on — »więc muszę ją przyjąć, jak dla niej przystoi i dla mnie.« — Przy takich okolicznościach panuje w całym teatrze niezmierny zbytek światła, kwiatów, kobierców, zwierciadeł, aksamitów, a całemu dworowi jakoteż wszystkim obecnym damom, każe uprzejmy dyrektor podawać lody i inne orzeźwiającej posiłki. Roku zeszłego wyprawił pan Salamanka świetny festyn w swojej willi w Aranjuez, dokąd większa część zaproszonych gości w jego własnych pięćdziesięciu ekipażach przybyła. — Aż do ostatniego wstąpienia Narwacza do ministerstwa, utrzymywał Salamanka własną, dużą gazetę polityczną.

Czarownica Australiska. Kapitan Dillon opisuje pewną czarownicę na wyspie Nowej Hollandyi w następnym słowach: »Jest ona majestatycznej postawy, w średnim wieku, brunetka, i ma prześliczne długie czarne włosy, za każdym krokiem w powietrzu powiewające. Była ona w stroju narodowym, a jakiś wyraz spaniałej powagi wrażał uszanowanie a prawie trwogę. Pobawiwszy niedługo czas w kajucie naszego okrętu, kazała podać sobie szklankę rumu, wypita go duszkiem, potem zapaliła cygaro i rozgadała się w najlepsze. Głównie ściągnął jej uwagę na siebie chirurg okrętowy, Richardson, któremu, gdyśmy go jako naszego lekarza i czarodzieja przedstawili, oświadczyła, iż będąc także jednem i drugim, pragnie uściskać kolegę, to jest otrząść cokolwiek swój nos o nos jego, jak to w Nowej Hollandyi między przyjaciołmi jest w zwyczaju. Pan Richardson przystał na tę pieszczotę, przyczem jednak peruka z głowy mu spadła. Czarownica przeleżała się okropnie, mniemając iż jej kolega rzeczywiście jest czarodziejem, i za pomocą magii czaszkę sobie zdjął z głowy. Uciekła więc spiesznie z kajuty i zawsze odtąd z największą czcią do chirurga się zbliżała.

Jeńcy. Pewien żołnierz francuzki, który przez długi czas był w niewoli u Abd-el-Kadera, nareszcie szczęśliwie umknął i do swego batalijonu powrócił. Opowiada on bardzo ciekawe szczegóły o życiu jeńców francuzkich w niewoli arabskiej, a mianowicie jedna scena jest osobliwie rozrzewniająca. Pomiędzy jeńcami znajdował się pewien towarzysz, który co wieczora zgromadzonych w namiocie kolegów spiewaniem rozweselał. Otóż jednego wieczora zanucił

on tęską piosnkę Berangera »Jaskółka« — lecz wkrótce wesołość zamieniła się w smutek, a całe grono jeńców, złożone z starych wysłużonych żołnierzy i młodszych oficerów, zaniosło się głośnym płaczem. Przypomnieli sobie ojczyznę, do której lotem jaskółek uleciebby radzi byli — i niczem już odtąd śpiewaka do powtórzenia tej piosnki nakłonić nie mogli.

Cholera. Podług doniesień prywatnych z Rygi, wtargnęła Cholera znowuż z Persyi do Rossyi i postąpiła już do Kazanu i Orenburga. Inne nieomylnie wiadomości z Petersburga donoszą, iż zwyczajna poprzedniczka Cholery: »Grypa«, gwałtownie tamże wybuchła.

Samobójca ze skąpstwa. Zwykle słyszymy tylko o samobójstwach z miłości, z nędzy i t. p. Tym razem wyczytujemy z Gazety Barneńskiej o starym sześćdziesięcioletnim skąpcu, który ania 8go z. m. utopił się z żalu po stracie kilku tysięcy talarów, ledwie 20tej części całego gotowego majątku, jaki przy śmierci w sumie 50.000 talarów pozostawił. Ten nieszczęśliwiec, który wypożyczaniem pieniędzy na jak najpewniejszą hypotekę się trudnił, a nigdy więcej procentu nie brał, jak tylko ile właśnie mógł wydrzeć, nie był ani razu jeszcze w swem życiu oszukany; dopiero w ostatnich dniach znalazł się ktoś jeszcze mądrzejszy od niego, i zranił tak boleśnie jego wraz tylko z brzękiem pieniędzy bijące serce, iż nieborak żyć dłużej nie mógł.

Złote przestrogi. »Dwóch rzeczy wystrzegajtem się zawsze w mojem życiu,« — mawiał pewien stary Doświadczyński — »to jest: nie nosiłym nigdy nikomu listu na pocztę, i nigdy przyjacielowi krawca mego nie nastęrczałem. Jeśli oddany przeze mnie list, temu, do którego on był adresowanym, nie podoba się, więc, jak się to zwykle dzieje, nie odpowiada na niego, a ztąd gotowa skarga na mnie: »Otóż mamy, pewnie nie oddał listu, jak się należy, lub może wcale o nim zapomniął.« — Polecać komus swego krawca, chociażby on cię od lat wielu najdoskonalej ubierał, a suknie jego zawsze wysmienicie leżały, jestto wyrażną niedorzecznością. Niech tylko frak w czémkolwiek nie dogodzi, lub niech rękaw tylko troszeczkę za wązki lub za szeroki się wyda, a będziesz musiał aż do ostatniej nitki słuchać wyrzutów, żeś partacza poleciał. — Najniewdzięczniejszą zaś rzeczą jest wprowadzać kogoś nieznanego w dom swojego przyjaciela. Gdy bowiem nowy przybysz nudnym lub nietowarzyskim się okaże, już cała wina na ciebie spada; jeśli on się żonie podoba, to mąż się gniewa; jeśli się mężowi podoba, to żona za to odrywanie męża od niej, gniewa jest na ciebie; jeśli on gburum, musisz każdy błąd jego naprawiać; jeśli jest przyjemnym, tedy zajmując się nim głównie, o tobie wszyscy zapomną. Najlepiej jest tedy dać ludziom robić, co im się samym podoba, a nie troszczyć się wcale o nich.«

Rzadka sumiennosc. Jeden z dzienników angielskich zawiera następujące ogłoszenie: »Pewna rodzina, która wkrótce z najmowanego przez siebie mieszkania chce się wyprowadzić, ma obowiązek zostawić to mieszkanie w tym samym stanie, w jakim ono w czasie jej objęcia się znajdowało, i potrzebuje na ten koniec 500 sztuk żywych, dorosłych, bez żadnej wady szcurów. Ktoby takowych w pomienionej ilości i jakości dostarczył, otrzyma 10 funt. szterl. w gotowiznie.«